Szopen a Naród.

NAPISAŁ

Stanisław Przybyszewski.

Szopen a Naród

Stanisław Przybyszewski

Spółka nakładowa "Książka", Kraków, 1910

Pobrano z Wikiźródeł dnia 24 kwietnia 2026

Szopen a Naród

napisał

Stanisław Przybyszewski

Spółka nakładowa „Książka”, Kraków
Składy główne: Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka; Lwów, H. Altenberg;
New-York, The Polish Book Importing Co.
Czcionkami Drukarni Ludowej w Krakowie, ul. Filipa I. 11

Okładka i winiety rysunku W. Jastrzębowskiego. Klisze wykonane w zakładzie artystyczno-fotograficznym T. Jabłońskiego w Krakowie.

Praca niniejsza — mało co rozszerzony odczyt, który miałem tego roku we Lwowie — nie rości sobie najmniejszego prawa do jakiejśkolwiek zasługi w badaniach nad życiem i tworem Szopena.

Jest ona li tylko osobistym, skromnym wyrazem zbożnego i pokornego hołdu, jaki żywię dla nieśmiertelnego wieszcza i Duszy chrobrego Narodu, której Szopen jest widomym objawieniem.

Autor.

PIĘKNY pjetyzm każdego narodu, do którego gienjusz należy, każe mu obchodzić rocznicę jego śmierci i urodzin, by przez gienjusz, który wydał, wykazać poniekąd żywotność swoją i potęgę, zrobić obrachunki z własnemi siłami i ich zasobem, spojrzeć wstecz na drogę, którą Dusza Narodu przebyła, i spojrzeć naprzód w klin światła, jakie dusza gienjusza przed się w mrok ciemnej przyszłości rzuciła, a które wskazuje nieomylną drogę, jaką dusza Narodu ma postępować, by z drogi nie zbłądzić.

Bo dusza gienjusza jest syntezą duszy całego Narodu, a zarazem filtrem, przez który do wielkiej, przez Boga pomazanej duszy jednostki przedostaje się li tylko to, co w Narodzie jest najszlachetniejszym, najczystszym, niezmożonym i niespożytym.

I takoż jest dusza gienjusza chwałą i wniebowstąpieniem duszy Narodu, a tym więcej Narodu bez bytu politycznego, bo wtedy staje się ona jedyną rękojmią, że Naród, który się w takiej duszy objawił, zginąć nie może, przeciwnie w duszy gienjusza ma i czerpie przeświadczenie niespożytych swych sił i zwycięskiej przyszłości.

Sto lat mija, odkąd Szopen nam się narodził. Mam wrażenie, że nie doceniamy ważności tej chwili, że nie dość godnie i uroczyście obchodzimy to wielkie święto, w którym dano nam pokazać całej Europie, jak wielką jest nasza potęga w panowaniu Ducha.

Bo jeżeli nam chodzi o chwałę i wiekopomność naszego narodu wobec Europy, a chodzi nam o to bardzo — to zaiste nikomu z synów ziem polskich tyle nie zawdzięczamy, co właśnie Szopenowi.

Przecież się chyba łudzić nie można: Mickiewicza w Europie zna zaledwie parę filologów, „Pana Tadeusza" czytają z tymsamym trudem, z jakim nad Mahabharatą, albo innym jakimś eposem hinduskim ślęczą; przyswojenie nieśmiertelnego dla nas tworu Słowackiego obcemu językowi spełzło na niczym, a smutne próby wystawienia jego dramatów na scenie francuskiej tylko srom wielkiemu artyście przyniosły.

Wobec Europy tylko Szopenem pochlubić się możemy. I rzeczywiście niema dziś zakątka w całej Europie, gdzieby nie piano pochwalnych dytyrambów na cześć Szopena. I po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ta słynna „cała Europa", ta z całkiem przymkniętemi, albo co najwyżej — szyderczo przymróżonemi oczyma, gdy o nas chodziło, ogląda się na nas, ale tym razem z całą powagą i szacunkiem, a w swym kornym kajaniu się przed gienjuszem Szopena składa hołd duszy całego Narodu.

Dla narodu bez bytu politycznego i Odsiecz Wiednia i Konstytucja Trzeciego Maja, a nawet i Grunwald, to relikwje, które raz po raz pokazuje się skruszonemu ludowi, by przywdział zgrzebną koszulę, posypał głowę popiołem i kajał się za grzechy przodków, co mu królewską przeszłość zaprzepaścili, relikwje, które słusznie Europie pokazujemy, by wspólne długi się nie przedawniły. Ale tu w obchodzie

setnej rocznicy urodzin Szopena święto narodowe stało się świętem całej ucywilizowanej ludzkości.

NARODOWOŚĆ Szopena nam chodzi, umyślnie to zawsze z jakimś dziwnym lękiem podkreślamy, a więc trzeba nam wiedzieć, że Szopen jest narodowym w najwyższym tego słowa znaczeniu, narodowym, jak był nim Bach i

Beethoven i Schumann i Wagner.

Wzbogacić skarbiec tworu ducha całej ludzkości tak olbrzymim bogactwem, jak to uczynił Szopen, nadać mu nowy kierunek, wskazać mu niewidziane dotychczas drogi, któremi w nieskończoność kroczyć może, to już znacznie więcej, aniżeli być narodowym.

A jednakowoż ambicja ta narodowa jest nietylko zrozumiała, ale i głęboko uzasadniona.

Wiemy aż nadto dobrze, czym był i jest Szopen dla Europy. Wiemy, że niema narodu, któryby go nam nie zazdrościł.

Więc pomimo, że jesteśmy bądź-co-bądź najkulturalniejszym narodem Europy — ustawicznie to powtarzam — pomimo, że w naszym panowaniu w Duchu nie potrzebujemy się na nią oglądać, to jednak wobec zaborczych zakusów obcego narodu, by się choć w części wielką naszą chwałą podzielić, obowiązkiem się staje, by z bezustanną czujnością i wszystkiemi siłami bronić każdej piędzi Araratu, na którym zbłąkana arka naszego Bytu osiadła.

A naszym Araratem, to jedynie niezmożona potęga Duszy Polskiej, która w muzyce Szopena bodaj czy nie najwspanialej się objawiła.

Obce brzmienie nazwiska tym razem wydaje się jakimś przykrym wypadkiem, niemiłą pomyłką, bo dusza Szopena była tak nawskroś polską, jak była nią dusza Matejki, lub Grottgera...

Sakramentem nierozerwalnych ślubów złączyła się jego dusza z duszą Polski.

Dostojniejszego, więcej godnego oblubieńca Polska zaiste znaleźćby nie mogła.

Biografja Szopena, jako człowieka, dla jego tworu, który nas jedynie obchodzi, jest rzeczą dość obojętną, a poza tym wdzieranie się w tajemnice życia prywatnego artysty tak olbrzymiej miary, jak Szopen, byłoby co najmniej ordynarnym.

Zewnętrzne przeżycia artysty, jego miłość, losy, tragiedja itd. mogą być bardzo ciekawe dla publiczności, ciekawej plotek i ploteczek o tym, którego przeznaczenie wysunęło na główny posterunek bytu duchowego Narodu. Ale to całe zewnętrzne życie artysty ma zwykle bardzo mało, albo całkiem nic wspólnego z jego wewnętrznym przeżyciem.

Dusza twórcy przefiltrowuje, że tak powiem, każde wrażenie zewnętrzne, a co jako osad tego lub owego przeżycia na dnie duszy pozostaje, zwykle w niczym nie odpowiada jego zewnętrznej linji. I stąd pochodzi dziwny, a znamienny fakt w duszy artysty, że jakiś przegniły liść, który jesienną porą z drzewa opadnie, wywołuje w jego duszy niesłychaną reakcję, podczas gdy najgłębsze wstrząśnienia, dziejowe choćby nawet przewroty, istnieją jako blade, bezbarwne wspomnienia, albo tak doszczętnie przekształtowują się w duszy, że nawet ich echa trudno w tworze artysty odnaleźć.

Znamiennym tego przykładem jest Beethoven, który jak najspokojniej, ukryty w jakiejś piwnicy, pracował nad swą siódmą symfonją, podczas, gdy działa Napoleona srożyły się wściekłym huraganem ryku i ognia nad Wiedniem. Wtedy Beethoven przygrywał wszystkim światom do tańca.

I na życie zewnętrzne Szopena składało się tyle i tyle czynników mniej lub więcej tragicznych, jak zresztą na każde inne życie ludzkie. Biografja jego składa się z tysiąca anegdotek, ciekawych lub mniej ciekawych ploteczek, kilkunastu ocalałych listów, wcale nieciekawych. Wiemy coś niecoś o drobnych szczegółach jego życia, nawet to, ile jego szafka do butów kosztowała. Ale to wszystko może li tylko zaspokoić ordynarną ciekawość motłochu, który się wpycha gwałtem za kulisy życia artysty, lecz w niczym nie ujawnia tej podziemnej, ukrytej duszy artysty, która tworzy. Dusza artysty jest niejako magnesem, który dla zwykłej duszy człowieka rzeczy najważniejsze odpycha, a przeciwnie, najprostsze opiłki z warsztatu życia do siebie przyciąga i nierozerwalnie się z niemi łączy.

A przedewszystkim byłby czas zerwać z śmieszną tradycją minionych czasów, jakoby George Sand miała odegrać tak niesłychanie poważną rolę w życiu Szopena, jak to powszechnie głoszą. Wpływu żadnego na Szopena nie miała, ani mieć nie mogła. Bo przedewszystkim nie miała najmniejszego wyobrażenia ani o twórcy, ani o jego tworze. Aż nadto dowiodła tego w swojej mizernej, kłamliwej powieści „Lukrecja Floriani”.

Był to epizod w życiu Szopena niezmiernie przykry, ale z twórczością jego nic nie mający wspólnego. A uwłaczającym jest wspominać o nim wogóle, gdy się mówi o tym, który razem z Mickiewiczem miał prawo powiedzieć:

„Duszą jam w moją ojczyznę wcielony...”

WOBEC Szopena stajemy jak wobec jakiejś zdumiewającej zagadki. Hagjografja katolicka twierdzi, że Opatrzność upatruje sobie jednostki, na które zsyła najstraszniejsze męczarnie, by one pokutowały za grzechy, spełniane przez ludzkość całą, i Boskość przejednały. Są one zatym męczennikami, wybranemi przez Boga, by przez ich męki dokonały się Jego niepojęte zamiary i wyroki. Takim przykładem jest według Huysmansa Św. Ludwina. Wszystkie wtedy

cierpienia, wszystkie męki nic nie znaczą wobec — w imię wyższej potęgi — dokonanej ekspjacji.

I coś analogicznego odbyło się w życiu Szopena: Całe jego życie zewnętrzne nic nie znaczy wobec świętej misji, którą miał spełnić: ukazać gienjusz całego narodu, w nim ześrodkowany, w całej swej niesłychanej potędze.

I myśląc o Szopenie, trzeba zapomnieć, że wogóle istniał, korzyć się tylko nam przynależy przed tym świętym objawieniem duszy narodu, dla którego Szopen jest li tylko symbolem.

Szopen, powtarzam, był wysłannikiem, którego Dusza Narodu pomazała, by jej wielkość, jej potęgę i moc głosił. I stąd pochodzi, że Szopen jest zdumiewającym przykładem potężnego artysty-magnata, który nic więcej nie potrzebował, jak tylko pełnemi garściami rozrzucać bezmierne bogactwa, jakie dusza Narodu w nim przez wieki całe nagromadziła: a, gdy umarł, nie umarł ani za rychło, ani za późno: w tym krótkim życiu dusza Narodu zaiste zdążyła się cała wypowiedzieć.

To, co prorok Boży w swym życiu zewnętrznym przeżywał, tego tykać niewolno, choćby to miało być jego szczęściem lub męczarnią, a jeżeli już chodzi o biografję artysty, to jedynie tylko o tę wewnętrzną, o jądro jego duszy, wokół którego jego twór oscyluje i w widome kształty się przyobleka.

A tym barocentrycznym jądrem w duszy Szopena, to ziemia, która go wydała, ta ziemia, jak widna i szeroka, z jej smutkiem i weselem, jej krwawemi losy i ponurym

tragizmem — ziemia, tym więcej ukochana i utęskniona, w im dalszą perspektywę się usuwała i z oczu zatracać się jęła — ziemia, która w duszy jego od bieguna do bieguna niepodzielnie się rozpanoszyła — w całym królewskim tego słowa znaczeniu, ale już nie jako zwykła rzeczywistość, ale niejako w pojęciu Anamnezy Platona: w dalekim wspomnieniu, które tym większym i gorętszym ulegało przekształceniom, im więcej ta ziemia stawała się wytęsknioną, nigdy nie osiągłą ziemią obiecaną, której już oczy wieszcza ujrzeć nie miały.

NIE potrzebuję się silić na opisy tej ziemi, która Szopena zrodziła. Każdy z nas nosi ją w swym sercu, żywą i najserdeczniejszą krwią karmioną. Cóż mówić o tej ziemi, o której sam papież Paweł V miał powiedzieć delegacji polskiej, gdy go o relikwje prosiła: Na co Wam relikwje?! każda grudka Waszej ziemi, krwią męczenników przesiąknięta, jest już

relikwją!

A jak gorąco, jak zbożnie musiał ukochać tę ziemię jej potężny syn, kiedy na chwilę do końca życia nie rozstawał się z jej grudką, starannie w woreczek zaszytą!

Cały jego twór robi wrażenie, jakby to wszystko było dalekim, a nieskończenie blizkim przypomnieniem rzeczy kiedyś widzianych, słyszanych, jakby we śnie przeżytych, a wszystko, co sam przeżywał i przecierpiał, kojarzy się z wizją tej ziemi, która duszę jego ukształtowała. Dochodzą go odgłosy i szumy i rozhowory, płacze i jęki i wesele tej tak nieskończenie ukochanej, utęsknionej ziemi, a rozpłakaną godziną płyną i płyną dzwony wiejskich kościołów. *„Tantum ergo Sacramentum”* modlą się organy, zanoszą się od szlochu w hymnie nad hymnami „Święty Boże, Święty Mocny” albo kwilą prostaczą kolendą „Lulu, lulu Jezusińku”.

I śnią mu się bajki i opowiadania, jakie dzieckiem posłyszał: dziwożony i rusałki wśród uroczysk tajemniczych jezior, ich wabiące, rozkołysane, a tak zdradzieckie śpiewy, wyłania się mogiła, gdzie pani pana zabiła, grzmią bohaterskie pochody Lisowczyków i wściekła nawałnica husarzy, co srebrnemi skrzydły u ramion w zwycięskim huraganie powietrze na strzępy darli... przed oczyma jego snuje się uroczysta procesja dumnych magnatów i senatorów w królewskim przepychu dawnej przeszłości; otwierają się w duszy tajemne wrota do ukrytych podziemi; nieśmiertelny wzrok wieszcza widzi rzeczy, które przeżywał, gdy jeszcze w łonie wieczności śnił sobie początek, rozświetlają się przepastne głębie,

bucha z nich oślepiający blask, w jakim rozwiewne mgły przyoblekają się w żywe, płomieniste kształty, stokroć wspanialsze i potężniejsze od wszelakich, jakie dano śmiertelnemu oku człowieka oglądać.

W OGNIU tych płomiennych wizji staje nam przed oczyma nasza ziemia, ona „co we dnie stroi się w pychę, ona, co w nocy broczy się krwią”, z oparów jesiennych wyłaniają się

wierzby przydrożne, na pustym ugorze srebrzy się światłem miesiąca upiorny krzyż, w bezustannej słocie przewłóczy się leniwo dym z nędznych chałup nadwiślańskich, na polach gnije szczecina zżętego żyta, szron zwarzył drzewa i łąki, a w duszy ból i cierpienie i nieukojona tęsknota i żal, żal za tą Polską, tą jedyną, jej majem i jej jesienią i nutą swojską oberka, kujawiaka czy też mazurka, co z otwartych okien karczmy na cały świat zda się rozlega.

Miłość tej ziemi była Szopena jedyną religją i to sprawia, że żaden naród nie jest w stanie ani w przybliżeniu odczuć go w tej mierze, jak właśnie my, Polacy. Na najdelikatniejsze, najgorętsze drgnienia w muzyce Szopena każdy obcy pozostanie głuchym, gdy właśnie one najgłośniejszy oddźwięk w duszy naszej wywołują.

I w tym znaczeniu Szopen jest nasz, i tylko nasz, a śmieszną fanfaronadą francuską, jak zresztą cały pomnik Szopena w paryskim parku Monceau, wydaje się na nim napis: urodzony z ojca Francuza i matki Polki.

A jeżeli już który naród nie jest w stanie Szopena odczuć, to właśnie Francuzi.

KAŻDY naród posiada jeden specyficzny ton, do którego cała dusza jego jest dostrojona. Ten ton jest innym u narodów giermańskich, innym u romańskich, a całkiem już inny i odrębny u narodów słowiańskich.

Wyczuć specyficzną wartość tego tajemniczego tonu, mieć tę moc, by wszystkie inne do tego zasadniczego tonu dostroić, stanowi potęgę poszczególnego artysty, a zarazem probierz, o ile jest narodowym lub nie.

Ton jest zasadniczą, bo najpierwotniejszą jednostką w układzie duszy. Jest on niejako jej jądrem, naokoło którego wszystkie inne jej składniki wirują i do którego zdążają. Ten zasadniczy ton zabarwia wszelkie uczucia, wrażenia, przeżycia swą, jemu tylko właściwą barwą, i swoim mocarnym tukiem karmi i syci wszystko, co w duszy człowieka się odbywa.

To też najczyściej i najprzejrzyściej przejawia się dusza

narodu w muzyce, a stokroć łatwiej uchwycić właściwości i odrębności poszczególnych narodów w ich muzyce, aniżeli w słowie.

A ten ton, na jaki dusza Polaka nastrojona, to nie jakiś przypadkowy fenomen, to muzyka naszej krwi, to święte nasze Atma — dech nasz, to hulanka wichru po nagim stepie, jego rozmiłowany poszum wśród kwitnących żyt, to właściwość naszego oka, przystosowanego do dalekich równianych horyzontów, ich tęsknot i bolesnej zadumy, to organiczna właściwość naszej krtani, która nawet w żywym słowie stworzyła sobie dźwięki, jakich żaden inny naród nie posiada, to jęk i mowa naszej ziemi i muzyka biegu naszych rzek i rytm, w jakim nasze jeziora falują, i rytm bezustannego deszczu jesiennego, gdy bezlitośnie, z miarową ścisłością wahadła bije o spocone szyby.

I ten zasadniczy ton duszy polskiej, który w muzyce ludowej najczyściej, ale zaledwie w kilku, kilkunastu tonach istnieje, rozrósł się w duszy Szopena w niepomierny, olbrzymi kwiat, pełen królewskiej potęgi i chwały.

W TYM najistotniejszym tonie duszy polskiej, niepokalanie zachowanym w ubogiej piosence naszego ludu, jego przygrywkach tanecznych, kolędach i gorzkich żalach, zawodzeniach pogrzebnych i tęsknych rozhoworach miłosnych, tkwi rdzeń twórczości Szopena.

I wziął Szopen do ręki skrzypce chłopa polskiego z kory lipowej, ale instrument okazał się za ubogi, za biedny: gdzież tu pomieścić to wszystko z duszy narodu, z czym się nierozerwalnie złączyła muzyka organów wiejskich kościołów, kwilenie fujarki, ulenionej z wiosennych prętów wierzb, dudnienie basów, i skowyt dudy?

W duszy swej ześrodkował wszystko, co naród prześpiewał, przepłakał, przemodlił i przekrzyczał, a na to g, d, a, e skrzypiec nie starczyły, więc stworzył sobie nowy instrument, na który dotychczas nazwiska niema.

Fortepjan Szopena jest całkiem czymś innym, aniżeli

Bacha lub Beethovena. Jego fortepjan, to nie gotowy jakiś instrument, ale najgłębsza, niesłychanie skończona i niepojęta w swej bezskończoności projekcja duszy Szopena, tej tajemniczej syntezy najistotniejszego bytu Narodu w tonie. Szopen w swoim fortepjanie zdołał wyłonić z siebie całą swoją duszę, najdelikatniejsze jej fibry rozciągnął na struny, dał im taką moc i pojemność, że zastąpiły mu całą orkiestrę, dał im tak olbrzymią rozciągłość, że w objętości ich brzmienia pomieścić się mogły nawet najskrytsze, dla słowa nieujęte, dla mózgu niepochwytne rzeczy.

Tym się tłumaczy, że Szopen nie potrzebował pisać na orkiestrę.

Fortepjan jego jest sam w sobie orkiestrą: skrzypcami, basem, organami, fujarką i kobzą i rogiem myśliwskim i trąbką powstańczą.

I teraz dopiero na tym instrumencie, który sam sobie stworzył — wygrał, wyśpiewał i wykrzyczał bóle i cierpienia, tęsknoty i wesele całego Narodu.

Ale nie zapomniał, co zawdzięcza tej pierwotnej i prostaczej melodji duszy polskiej, jaką mu lud przekazał, bo najgłębszym i najszlachetniejszym impresjom swej własnej duszy dał nazwę „Mazurków”.

I w obrębie tej prostaczej nuty, na tle pierwotnego, współuświadomionego, ciężkim jeszcze snem spętanego uczucia-tonu, powołał jasnowidzący wieszcz poprzez ubożuchne nucenie chłopskiej nuty do samego dna, od samych źródeł duszę Narodu do wielkiego, przebolesnego

życia.

RAMY przygodnego odczytu nie pozwalają na szeroką analizę całego tworu Szopena, by móc wykazać, w jak idealnym stopniu jest on w każdej nucie, którą napisał, narodowym, tak nawskroś naszym, więcej może jeszcze, aniżeli Mickiewicz i Słowacki — wybaczcie śmiałość mego zdania, ale dla mnie symbol, wyrażający dźwięk, jest stokroć silniejszy od głoski — poprzestanę zatym na paru utworach, które dla tworu Szopena wydają mi się najwięcej znamiennemi.

Jest jeden mazurek, dla mnie najpiękniejszy, bo zawiera niemal wszystkie składowe pierwiastki duszy Szopena, Szopena-ludu, Szopena-ziemi, Op. 41, Nr. 1.

Maestoso:

Zaduma, cicha zaduma, miarowo przerywana nagłemi podrzutami duszy — bezkresna melancholja równin, błądzenie stęsknionemi palcami po niebosiężnej harfie

cierpienia, a nagle: jakby on wicher, co niewiadomo skąd się rodzi, wyskakuje raptem głośny okrzyk, nawpół nuta tryumfu, nawpół smagający ból lęku, by tam gdzieś w głębi ukryte cierpienie zadusić:

Tańcz, moja duszo, tańcz!

Ni stąd, ni zowąd dzika jakaś ochota, jakieś pragnienie wielkiego, szerokiego użycia od bieguna do bieguna — nogi drgają w takt zapamiętałego tańca, silniej, mocniej jeszcze, rwą się krzyki, coraz gwałtowniejsze przyśpiewki w tryjolach, w grzmiącym basie — szeroko, coraz szerzej — ale napróżno: przyczajony ból wyczołgał się, długi, uparty, zjadliwy, w jakieś niejasne wspomnienie...

I wraz składają się ręce w zbożnej skrusze, płynie słodka modlitwa i tyle błagania o przebaczenie i całowania stóp Ukrzyżowanego — rodzi się bunt duszy, ale wnet upada znowu w bezsilnym kołysaniu rozpacznej głowy, opadniętych rąk, skołatanej duszy... jakieś bolesne kwilenie, jakieś senne, nieświadome bólu nucenie, tak sobie przed się — tak na fale szerokiego wiatru z przeświadczeniem samotnej sierocej doli, powtarzanie jakiejś zabłąkanej myśli — nie! już nie myśli, tylko ostatni oddech chorych, sennych pacierzy — pogwizd wiatru, co złamany osiadł wśród nagich rżysk.

I od nowa potępieńczy taniec:
Na pohybel Bogu i djabłu:
Hulaj, duszo, pókiś cała!

Szerzej, coraz szerzej. Aż pierś pęka od rozparcia, gardło chrypnie, dusza tężeje w wściekłym rozmachu, ale ten wielki, ten ostatni krzyk wyrwać trzeba. I wielka chwila wyzwolenia. Nie krzyk, ale cała kaskada krzyków leje się spieniona w potężnych oktawach w dół, gdyby poodrywane głazy z gór szczytów w głuche usypiska — leje się, cichnie, gaśnie w zbożnym, najgłębsze tajniki duszy polskiej przenikającym kajaniu się przed niezgłębionemi mocami:

jedno, jedno ciche, bijące się w piersi:
Stań się wola Twoja, Panie:
Tak i Amen.
Do snu, do wielkiego snu ciszy i ukojenia.

I tak się zwykle kończą najpiękniejsze mazurki Szopena — ach! nietylko mazurki — raz po raz tylko pod koniec rozbrzmiewa, jak step szeroki, w krwawym pocie rozmodlony, tak ogromnie bolesny i tak nawskroś polski wieczorowy hymn duszy, jak w Fis-mol mazurku, w Impromptu Fis-dur i całym 8-ym preludjum Fis-mol.

W MAZURKU odnalazł Szopen ton duszy narodu — a zarazem ton — myślę, że jasnym już jest teraz, co pod tonem rozumiem — t o n własnej duszy.

I dla czego, zapytamy, ten najistotniejszy ton narodu rozśpiewał się w duszy Szopena takim ciężkim żalem, takim cierpieniem, taką przejmującą grozą bólu i smutku?

Ot — właśnie dla tego, że nikt, jak Szopen — ustawicznie powracam do tegosamego refrenu — nie był tak narodowym i tak naszym jak on.

Szopen jest pogrobowcem, jak był Mickiewicz i Słowacki.

Ton, jaki w muzyce Szopena tak potężnie rozbrzmiewa, to nie ton narodu, co w dziarskich pląsach o jutro się nie troszczy, syt chwały i dumny swoją potęgą, co od morza do morza sięgała, to nie ton pijany, deliryczny tegoż narodu, co pił i popuszczał pasa i Targowicę gotował, to już ten

potężny, męczeński, co pod Maciejowicami obłędne pacierze bełkotał o zmiłowanie, ton rozpaczny, przebolesny, pełen przekleństw i buntu i strasznego wołania: Boże coś Polskę... ryk narodu, co konał na okopach Pragi, co na grobach wyleguje, a na skrwawionych kolanach czołga się do stóp Niebieskiej Matki, by wyżebrać odrobinę litości dla nędznych dzieci —

Ewy — Polski!

To też wszystko, co z duszy Szopena się wyrwało, było pełne żalu i tęsknoty i cierpień nieludzkich, opętańczych krzyków, bluźnierczej mocy i hardości, co z Panem Bogiem za bary się bierze i z największą świętością na udry idzie, a jeżeli pojawi się śmiech, to ten straszny, męczeński chłopca spartańskiego, co lisa ukradł.

Lis mu nagie ciało rozszarpuje, pokazać go nie może i śmieje się, śmieje — a tak męczeńsko, tak wytwornie jedyny Szopen śmiać się umiał.

ALE w tej rozterce, w tym ciągłym ducha utrapieniu, tej bezmiernej tęsknocie i szamotaniu się z bólem i rozpaczą zabrakło tchu. Piekielna zmora przygniatała piersi, paląca szmata Nessusa spowiła mózg: wyzwolenia — wyzwolenia! krzyczało serce.

I wtedy to wyczarowała rozbolała dusza Szopena przed jego oczy płomienną wizję ukochanej Polski, z grobu powstałej, ale przyobleczonej w purpurę i hermelin najwspanialszej potęgi, przedmurza chrześcijaństwa, ostoi wszelakiej wolności, Polski magnatów, prymasów, senatorów i najprzedniejszego w całym świecie rycerstwa.

I powstali z grobu ci, co legli pod Grunwaldem i Warną i Cecorą, i ci, których kości żyźnią wzgórza Kahlenbergu, ruszyli się z swych sarkofagów królowie, kardynałowie, magnaci i możni panowie i szli i szli, a na ich czele kroczył w tryumfalnym majestacie sam Król-Duch.

A potym jak straszna wichura z szumem i łoskotem przewaliła się nawałnica stalowych, skrzydlatych rycerzy, którym tak boleśnie trąbka bojowa przygrywa do

bohaterskiego ale śmiertelnego tanu, raz po raz szarpnie ból sercem, że to wszystko tylko rozkoszny sen, przewija się skarga i ból tego, co na jawie duszą szarpie, ale ponad wszystko wciąż i wciąż góruje wizja: on uroczysty i majestatyczny pochód, takiej monarszej powagi i dostojeństwa pełen, tak swej zwycięskiej mocy przeświadczon, że z tym majestatem nic się zrównać nie da.

As-dur Polonez jest jednym przepotężnym, iście tryumfalnym „Danse macabre” narodu, co ustawicznie wieko od trumny odchyla i nigdy groźniej i majestatyczniej się nie objawił jak właśnie w tym polonezie.

Pisał Schumann o mazurkach Szopena, że: „gdyby samowładny monarcha północy wiedział, jakich ma wrogów w skromnych melodjach „Mazurków”, zakazałby takiej muzyki, która jest armatami wśród kwiatów”.

A cóż dopiero powiedzieć o tym polonezie, który jest jednym gromkim, mocarnym manifestem tych, którzy się pogrześć nie dają.

Szopen — on Her-Armeńczyk — wywlókł w tym tworze Króla Ducha z grobu i ukazał go narodowi.

JEDNAKOŻ nadszedł czas, kiedy dusza potężnego wieszcza bezmiarem cierpienia swego narodu wyolbrzymiała do ogromu tego, co Bogu jest równy, z wściekłością wali pięściami o wrota Przeznaczenia i krzyczy rozpacznie: Czemu? Czemu?

Eli, Eli lama sabachtani?

Czemuś nas opuścił, Panie?!

I takim jednym, straszliwym krzykiem: Eli, Eli lama sabachtani? — jest najpotężniejszy wyraz, jaki dusza narodu dla swego niepomiernego bólu znalazła:

Szopena Fis-mol Polonez.

Z czymby to porównać można?

W całej przepotężnej sztuce polskiej nie mogę znaleźć odpowiedniego ekwiwalentu. Potęgą natchnienia stoi na wyżynie improwizacji Mickiewicza, ale rozpiera egotyczny ból do cierpienia miljona, siłą artystycznej mocy przerasta

cały twór Grottgera... Jeden może symbol znalazłby się w polskim malarstwie:

Rejtan na obrazie Matejki — wznak rozpostarty z rozdartą koszulą, ostremi szponami swoich palców w ciało swoje wgrzebany i wielkim krzykiem wołający: Nie pozwalam!

A wraz rozpaczny krzyk do Boga: Czemu?

I zaciekłym, urywanym pierwszym taktem swego Poloneza — męczeńskiej epopei — woła Szopen: Czemu?

I to pytanie najgłośniej, groźniej jeszcze... Jakby do miażdżącego skoku, przyczajone dyszy to „czemu?" — aż wreszcie wybucha całym orkanem krzyków, co zlały się w jedno krwawe, spienione pytanie: Czemu, czemu, czemuś nas opuścił, o Panie?!

Chwila milczenia.

Niema odpowiedzi.

Człowiek ochłonął. A dusza jego rozgrzmiała jakimś przeolbrzymim, bohaterskim, uroczystym tonem, śpiewem z bólu wyzwolonej duszy, co dorosła swemu Przeznaczeniu, co bez lęku i bez grozy, z zaciekłym, groźnym męstwem patrzy w upiorne, tajemnic swych pewne ślepia sfinksa, ale na nic... Jednakowoż go lęk ponosi, chciałby wszystkie pieczęcie porozrywać, a one nietknięte:

Życie nie przestało być zagadką, ani śmierć ciężkim strachem i tajemnicą, i w zadyszanym bólu jęczy człowiek to straszne: „Czemu?"

I straszny płacz rozsadza mu piersi, rozpaczny szloch konających, którym życia nie żal, tylko jedynie tego, że

dłużej walczyć nie mogą. Ale na nowo ze zdwojoną siłą zrywa się na nogi, powtórnie ze zdwojoną siłą szturmuje zamknięte wrota utraconego raju, i w strasznym, rozdzierającym ryku bólu kona ten rozpaczny wysiłek.

A z dali, jakby odgłos krwawej bitwy — tętent koni, głuchy grzmot dział, dudnienie ziemi pod ciężkiemi stopami karnych czwartaków — majaczą się modlitwy za konających, błagalne prośby do Pana Zastępów, coraz więcej głuchnie w oddali zgiełk bitwy, a nagle, gdyby jakaś święta róża mistyczna, wykwitła z rozpacznych cierpień, rozszalałych modłów, dzikiego zamętu bitwy m a z u r e k, w którym gienjusz Szopena w niesłychanej potędze odtworzył tak szczerą, tak czystą i tak naiwną poezję narodu, co z dziarskim śpiewem, z kolistym mazurkiem na ustach szedł na krwawy tan.

Tkliwa piosenka ułańska „Tam na błoniu błyszczy kwiecie" kojarzy się z hardym „Taki los wypadł nam, że dziś tu, a jutro tam", odzywa się buta Polaka w przedpieklu, którego szatan wpuścić nie chce, bo na wrotach piekielnych pisze, że Polska jeszcze nie zginęła, i szlocha cichą piosenkę nad biedną ojczyzną: „Lecą listki z drzewa, co wyrosło wolne” — wszystko — wszystko tam jest — a pieśni tych wszystkich dziś już zapomnianych Tyrteuszów, co najistotniejszym tonem duszy narodu — mazurkiem — zagrzewali swych braci do boju, unieśmiertelnił Szopen w tym jednym, nieporównanym, potęgą swego natchnienia przerażającym mazurku.

Ale to wszystko sen, a po nim straszne przebudzenie. Na nowo rozpoczyna się ta straszliwa msza rozpaczy, co się

kończy już zupełnym obłędem bólu. Koniec tej przebolesnej epopei wszystkich męczarń, jakie bohaterskie plemię w nadludzkich wysiłkach przeżyło, to już stępiałe pomruki bólu bez granic, z którego sobie sprawy już zdać nie można, bólu poza wszelkim bólem. I zda się, że już wszystko ucichło, wszystko na zawsze umarło, już ostatnią trumnę wynieśli... A tu nagle ostatni przeraźliwy krzyk, gdyby piorun Sądu ostatecznego. To ostatnie fis, pod którym w szale wizji twórczej drżąca ręka Szopena cztery razy podpisała forte, to jedna z najciekawszych zagadek w jego twórczości. Ten nagły, przeraźliwy krzyk, od którego włosy się jeżą, to ostatni jęk złamanego serca, a może gromka, mocarna pobudka do nowego boju?

MOGŁOBY się zdawać, że w Fis-mol-Polonezie zdołała dusza Szopena wyrazić swój najcięższy ból, że polonez ten jest ostatnim wyrazem rozpacznego szamotania się spętanej Duszy Narodu. Ależ nie! Polonez ten zdaje się być przygrywką niejako do B-mol Sonaty, tej wściekłej siklawy cierpienia, co z niebosiężnych szczytów zwala się w dół, a giejzerem ognia rozpaczy bucha ku niebu i jego ciemnie na drobne strzępy rozszarpuje.

Rytm pierwszej części, to bieg krwawą pianą pokrytego rumaka, co wyciągniętemi nogami sadzi przez pola, rowy, brzuchem prawie ziemi dotyka, a na nim oszalały rycerz, nieszczęsny zwiastun klęski i pogromu, wizja apokaliptycznych jeźdźców, pomoru, ognia, mąk głodu, świstu nahajek, rzezi — otwartych grobów...

Rytm tej części, to przestrach ludu, co z okopów, z których chciał się radować zwycięstwem, zlatuje w panicznym obłędzie do miasta, dusi, tłoczy się na placach publicznych, mury kościołów rozpiera, dyszy w rozpacznych krzykach, zamiera w bełkocie obłędnych

modlitw, w płaczu i szlochu bezradnej męki... Tylko raz po raz przyczajona cisza, jak gdyby niewidzialne ręce ponad wszelki tłum i świat cały podniosły monstrancje — ale na chwilę tylko — znowu rozjeżyła się grzywa śmiertelnego przestrachu poprzez całe niebo, krzyki mordowanych szaleją w powietrzu, a nad miastem hula wściekły, płomieniami buchający wicher pożogi — i chłepcze chciwie strumienie krwi.

A snać głęboko musiał się wsłuchać Grottger w ten rytm, jeżeli go choć w dalekim echu zdołał uwięzić w swoim najwięcej natchnionym rysunku: „Wojna".

Ależ nie! Jeszcze ostatnia nadzieja krzepi serce ludu.

Jak wicher zerwał się najprzedniejszy hufiec narodu, aż się iskry sypią z pod kopyt końskich, aż ziemia zadudniała, rozegrało się powietrze hardym, potępieńczym męstwem, ale złowieszcza, jasnowidząca kantylena nie wróży zwycięstwa. Poprzez tę bolesną, zawodzącą melodję „Scherza" słychać w oddali tętnienie kopyt końskich. Gdzieś tam w dali dyszy krwawy, ostatni bój, dalekim echem nadbiega odgłos śmiertelnych zapasów zastępu, co się klinem werznął w zwartą czerń wroga, a na rozstajnych drogach zbłąkanego, na zagładę i zatracenie poświęconego narodu zawodzi i płacze jego dusza.

Stratowane listki, co z wolnego drzewa wyrosły — „nie było — nie było, Polsko, dobrze Tobie — wszystko się prześniło, a Twe dzieci w grobie..."

I rozjęczały się pogrzebne dzwony, ale nie te, które, jak u Beethovena, u stóp Walhalli zwycięskiego bohatera uroczystą, namaszczoną powagą witały, ale te rozpaczne, te

nieukojone, głuche i złowrogie, kiedy już się na trumnę sypią grudki z głuchym dudnieniem o kruche deski, zwala się z pod ciężkich łopat grabarzy czarna, krwią przesiąkła ziemia.

Niewidzialnemi strunami związało się niebo z ziemią, niewidzialne ręce płaczą na tej niebosiężnej harfie, szlochają i zawodzą płaczem onych córek jerozolimskich, którym Odkupiciel w pogardzie śmierci powiedział: Płaczcie nad sobą i dziećmi Waszemi, a nie nade mną — a one płaczą i zawodzą, niepomne, że głaz grobu się odwali, a On — Duch Narodu — zwycięski z grobu powstanie.

Hej! hej! Grób się nie dał zasypać, bez miary i bez końca sypie się ziemia świętą krwią męczenników zbroczona, a grób otwarty — wieko trumny drży, dźwiga się, jak gdyby je żywe, dyszące piersi olbrzyma podniosły, a dzwony biją i biją, kołysane burzą pomsty, odwetu, dalekiej, głuchej, już grzebanej nadziei zwycięstwa...

Walka, na ziemi dawno już rozegrana, toczy się dalej gdzieś ponad ziemią w dzikim poświście wiatru, który, zda się, stworzenie ziemi zwiastował, a skłębiony chaos finale-preludjum zda się w ponurej, ciężkiej męce gwiazdy rodzić.

Nad ciemnią rozpaczy, nad wodami łez i krwi, ponad rozczochranemi, płaczącemi wierzbami, co szerokiemi gałęziami otulają groby, kurhany i olbrzymie cmentarzyska, unosi się dumny, ponury, groźny Duch Narodu, co swego Zmartwychpowstania czeka.

ALE na nic się nie zdadzą wszelkie, choćby najpiękniejsze parafrazy, jeżeli chodzi o to, by dać wyobrażenie potęgi i czaru muzyki Szopena. Żadne, choćby najpotężniejsze słowo nie jest w stanie dorównać przeogromnej sile Szopenowskiego tonu. I jabym się o to nie kusił, ale chodziło mi jedynie o wewnętrzną psychologję tworu Szopena i stosunek tegoż do narodu.

I otóż nam, Polakom, przypadł w zaszczytnym udziale dumny i dostojny obowiązek, by święcić stuletnią rocznicę urodzin tego, który tak chlubnie, jak nikt inny, zapisał nasze imię na kartach dziejów Ducha całej ludzkości: Fryderyka Szopena.

I obchód tego roku, w którym nam przed stu laty Szopen się narodził, to już nie tylko pjetyzm dla gienjusza, to już więcej niż cześć mu przynależna: to wielkie święto narodowe zwycięskiego tryumfu, niepokonanej mocy Ducha Narodu.

Nigdy tak silnie i tak gorąco nie żył Szopen, jak teraz żyje, nigdy chwała jego i potęga taką mocą nie

rozbrzmiewała, jak teraz, i nigdy może nie mieliśmy powodu do tyle dumy i pewnej odwagi na przyszłość, jak teraz, gdy kornie świat cały chyli się przed tym, co w Szopenie było i jest wiecznym, bo tę wieczność dała mu Dusza Narodu, w Szopenie dokonała widomej inkarnacji, a teraz z spokojnym, królewskim majestatem może na Szopena wskazać:

Patrzcie, tom ja!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stanisław Przybyszewski.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Szopen a Naród

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Teukros
- Kubaro
- Ashaio
- Denniss
- Beau
- Nostrix
- Beau.bot
- Joanna Le
- Trevas
- Sp5uhe
- Wieralee
- Ajsmen91
- EMeczKa
- Tommy Jantarek
- Ankry
- Zdzislaw
- Nawider
- Cafemoloko
- Rocket000
- Boris23

- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium